

# Walce

Adam Poprawa

**Walce wolne, walce szybkie**  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
i Centrum Animacji Kulturalnej  
Poznań 2009

Mówi się i pisze o Adamie Poprawie, że ma świetne ucho, słyszy, wychwytuje niuanse mowy ulicy (ale też gadaniny inteligentkiej), można do tego dodać, że jest czuły nie tylko na znaczenia, ale także na wędrowkę znaczeń, na ich modyfikacje wynikające z samej melodii i z sytuacji wypowiedzania. Oczywiście, sądy te nie są bezpodstawne, ale to zubożone odczytanie **Walców wolnych, walców szybkich**. Prowadząc spotkanie z autorem, spytałem go, dlaczego jego książka jest niegrzeczna. Bardzo sprytnie wybrnął, zaczynając od stwierdzenia, że dziwna jest sytuacja, kiedy ktoś, kto jest grzeczny, musi uzasadniać swoją niegrzeczność. „Niegrzeczność” tej książki (pomimo wielkiej kultury i wielkoduszości jej autora) jednak jest dla mnie bardzo wyraźna, jest to (niemal zapis w zapis) bardzo niepoprawna politycznie analiza niezbyt chwalebego stanu polskiej inteligencji i jej dość schizofrenicznej (aż się prosi, żeby posłużyć się tu „wykształciuchowatością”) roli w polskim społeczeństwie.

Ale pomimo naprawdę sporego ciężaru społecznego i oryginalności (momentami wręcz odkrywczoci) nienachalnej analizy, jest to przede wszystkim książka o jej autorze i jego żonie. Od tego zaczniemy – od jej największego, choć skrzętnie ukrywanego waloru. Już od samego

początku pojawia się jakaś niesamowita aura, biorąca się z ich relacji. Bijąca z ich rozmów, spostrzeżeń, składanych sobie sprawozdań ze zdarzeń, wzajemnej życzliwej obserwacji, współuczestniczącej penetracji dostępnego doświadczenia i intelektualnie zewnętrznego świata. Z dopełniania się, mówiąc po prostu. Już samo to, że na okładce jako autor widnieje Adam Poprawa, ale im więcej się przeczytało, tym lepiej się widzi, że książka ma również cichego, wpływowego współautora (współautorkę), z którym się nie walczy, który jest absolutnie naturalnym dopełnieniem „ja” piszącego, „ja” patrzącego, słuchającego i przede wszystkim selekcjonującego zebrany materiał.

Cóż, książki o miłości bardzo rzadko bywają udane, przekonujące i prawdziwe, niebanalne, nieckliwe, nietragiczne. Może właśnie dlatego, że to w ogóle nie jest książka o miłości, że nie znajdziemy w niej żadnych intymnych szczegółów, ba, nie zostajemy zaproszeni wprost nawet na podstawowy poziom emocji i uczuć obecnych w tym związku, determinujących go, budujących, rozwijających, udało się pokazać tu miłość bardzo naturalnie, absolutnie nieliteracko, z wielkim smakiem i przede wszystkim przekonująco. Miłość dojrzała, nie jako (dość powszechny) przemijający w czasie stan zakochania, choć od stanu zakochania przecież nieoddzielną, niestroniącą, niewolną. Widać to w błahych scenach, kiedy Liza „tłumaczy” za swojego męża Joyce’a („Nie że zawsze i w ogóle, ale, w szczegółach, jak nas czasem załśni”), kiedy nazwana muzą („moja muzia”), uświadamia mu, że jego muzą jest Malicki, kiedy wreszcie bohater kupuje dla niej precla w sposób tak uroczy. Tych ledwo zarysowanych scenek (niemal drobnych wtrętów) jest sporo i choć autor zajmuje nas (zwykle bez reszty) bardzo poważnymi lub bardzo niepoważnymi aspektami życia społecznego (pokazywanego głównie na drobiazgach, wydawałoby się, nieistotnych, a jak zadziwiająco owocnych,

kiedy podda się je tak szczególnej interpretacji bądź analizie) i konsekwencjami zachodzących w nim zmian, również kiedy prowadzi nas przez swoją płytotekę lub bibliotekę, kiedy „poprawia” w sposób wielce urokliwy Joyce’a, kiedy śledzi (i ocenia, czasami surowo) tok myślenia jego tłumaczy, kiedy (zazwyczaj bardzo krytycznie) czyta „Gazetę Wyborczą”, kiedy robi zakupy, chodzi do fryzjera, kiedy odwiedza cmentarz – ponad wszystkim unosi się wszechobecna (choć bardzo dyskretna) aura tego związku, bo ten związek, silniej niż język i rzeczywistość, buduje tak zwany świat przedstawiony. Silniej niż pozycja społeczna „bohatera” (wykładowca akademicki) uprawomocnia jego konkluzje, sugestie bądź twarde czasami oceny. W pewnym momencie autor, parafrazując Krasińskiego („Mickiewicz, «My z niego wszyscy»”), stwierdza – „The Beatles, ja z nich wszystkich”. No tak, im więcej się tych zapisków przeczytało, tym wyraźniej się widzi, że tak właśnie jest, ale rola współuczestniczącej lzi postronnemu czytelnikowi wydaje się jeszcze ważniejsza.

Ta rola, ta kategoria przenoszenia „ja” na niesentymentalny, niejako wyższy cywilizacyjnie poziom wypowiedzienia, to kolejny wielki walor tej książki. Autorów próbujących oceniać rzeczywistość nam nie brakuje. Czytelnik tym samym ma coraz bardziej uzasadnione prawo powiedzieć: „sprawdzam”. Tak, autorze, taki jesteś mądry, tak świetnie rozumiesz skomplikowane procesy i trudno poddające się ocenie w relatywizującym się świecie kwestie, pokaż nie swoją lewicowość, prawicowość czy co tam jeszcze nawymyślano (głównie z powodu braków własnych), tylko jak sobie poradziłeś na własnym podwórku. W *Walcach...* takie sprawdzenie wydaje się naturalne, samonarzucające się, poprzez silny biografizm, wręcz odautorską intencję, żeby autora i bohatera w sposób całkowicie usprawiedliwiony i zasadny sprowadzić podczas lektury do jednej osoby. I być może również dlatego tak dobrze się

czyta tę książkę. Tu nie ma sprzeczności, na wspomnianym własnym podwórku jest porządek, tutaj zaczyna się od siebie, tutaj zaczęto od siebie i dopiero wówczas przygląda się z ciekawością światu, a właściwie najbliższej okolicy (bo cóż to takiego ten „świat”?). Można z niektórymi **naświetleniami** się nie zgodzić, ale podstawa jest mocna, wierzy się w autorskie kompetencje i intencje. Nie ma miejsca na żadną czytelniczną podejrzliwość. To coraz rzadziej spotykana w polskiej prozie cecha.

Jednym z głównych wątków tej książki jest literatura i jej badanie. Niemal na samym początku pojawia się głos Balcerzana („dobrej poezji nie da rady w całości opisać, zawsze coś się wymknie”). To, co mnie w tej książce urzeka, to właśnie tropienie drobiażdżków, tego, co się wymknęło, wymyka, reflektor kierowany na, wydawałoby się, nieważne aspekty, pomijane zazwyczaj w opisie krytycznym. Literatura nie jako przedmiot, ale raczej jako kompan. Najlepsze partie to te, gdzie pojawiają się oczywiste kłopoty z tłumaczeniem *Finnegans Wake* Joyce’a. Dochodzi się tu do pewnej równoległości z mistrzem, kiedy wpada się na pomysł, na który on nie wpadł (dlaczego nie wpadł?), lub wręcz „Dzisiaj sumuje mi się to tak, że, jak Joyce, mam za sobą jezuicką edukację”. Ale też autor bywa w tych kwestiach ostry w ocenach, na przykład w zapisie poświęconym młodej polskiej krytyce literackiej: „Taki krytyk, Igor Stokwizewski [...]. Dyrzymali niemiłosiernie”.

Kolejny (równoważny) wątek to muzyka. Rzadko traktowana z pozycji krytycznych (Adam Poprawa jest przecież skądinąd ważnym polskim krytykiem muzycznym). Muzyka jako kolejny współtowarzysz, żywa przestrzeń. „Ktoś na widowni szurnął krzesłem, trafiając między bas i perkusję, dokładnie po kresce taktowej”. Tu najbardziej przekonuje mnie to „dokładnie po kresce taktowej” – pisanie z pozycji niezawodowych, +

całkowicie spontanicznych, bo przecież wiemy, jak nieprecyzyjne jest określenie wartości rytmicznej jako „dokładnie po kresce taktowej”; gdyby powiedzieć perkusiście jazzowemu: „zaakcentuj dokładnie po kresce taktowej”, rozłożyłby ręce. Albo w zapisie poświęconym Dąbrowskiej pojawia się wartościowanie właśnie z pozycji muzycznych: „Jej się podobał zespół Mazowsze”. Albo wrażenia z jakże aktywnego słuchania: „Pauza, pół, wejdz; już. Trane z innym spełnieniem. A jeszcze pomiędzy jedno ttryk, chyba przesuwany saksofon zawadził o guzik marynarki”.

Najczęściej docenia się tę książkę za wrażliwość na żywioł językowy potocznej polszczyzny. To najzabawniejsze partie książki. „Czy dostanę może takie małe figurki, jakieś ufoludki, kosmitów? [...] Nie, typowych ufoludków nie mamy”. Albo tropienie nazw własnych, takich jak sklep płytowy Mega Avans: „właśnie tak, przez v. A dochodzi się tam ulicą Półwiejską”.

Inna płaszczyzna zajmująca autora to perypetie i meandry kultury, kulturowości, styk kultury wysokiej z popkulturą. Sąsiedztwo na półce w księgarń **Witkacego na zawsze** Błońskiego z biografią Beckhama. Oczywiście dla kogoś, kto tak te książki ustawił, bo przecież obie książki to biografie.

Kolejny żywioł to własne aktywne słowotwórstwo, pełne zaskoczeń, oczywistości, pełne językowych gier („gdzie się podział podział”), ale i wyprzedzania języka, przewidywania kierunków jego rozwoju. Bo trzeba przyznać, że autor ma wielkie czucie języka i równie wielkie kompetencje językowe. I nie byle jakiego mistrza, bo to jest język odziedziczony po Białoszewskim, osadzony na „mowie mówionej”, tyle że przez kogoś mówioną.

No i komizm sytuacyjny. Na przykład scena (to jest chyba cytata, ale nie pamiętam źródła), z której

się dowiadujemy, jak sobie poradzić, kiedy wyznawcy Jehowy pukają do drzwi. „Proszę pani – spokojnie przerywam z westchnięciem w oczy – sam jestem Bogiem”. Albo przednia historia, udowadniająca poniekąd, jak to przestrzeń ulega czasowi, i to na wrocławskiej filologii polskiej, gdzie na portierni pojawia się zeszyt, w którym wykładowcy mają parafować pobieranie kluczy do sal na zajęcia – zeszyt zatytułowany **KSIĄŻKA RUCH KLUCZY**. Albo odwrócenie wątku nawróconych grzeszników: „Czy w niebie większa jest też radość z jednego nawróconego czytelnika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu siedzących w Ossolineum?”, bo u autora niekoniecznie (spada prawdopodobieństwo wygrania licytacji **Jednostki i nieskończoności** Kołakowskiego na Allegro). Albo ten kapitalny zapis z przywołaniem Falkiewicza, w latach 80. ubiegłego stulecia tłumaczącego się podczas wykładu w Nehringu z zarostu („Moja broda, proszę państwa, to nie jest broda solidarnościowa, jak u Władka Frasyniuka. To jest broda egzystencjalistyczna”), i zestawienie tej wypowiedzi z komiczną sytuacją, kiedy podczas zajęć ze studentami do sali wchodzi robotnik w koszuli identycznej jak nasz bohater prowadzący zajęcia („To nie znaczy to samo. U – kciuk w stronę drzwi – niego to po prostu roboczy, firmowy strój. Natomiast moja koszula jest postkontrkulturowa”). Albo zdanie Dedeciusa wypowiedziane do Herberta: „Pana wiersze się tak łatwo tłumaczy”. Albo wyjście od Foksa, by zakończyć na Hendriksowym **Foxy Lady**: „tttuduudu”.

Wreszcie wielkie wątki historyczne, polityczne i społeczne. Na przykład kapitalny zapis uzasadniający (z wykorzystaniem praw fizyki – napięcie jako różnica potencjałów), dlaczego jednak PRL padł (w wyniku zetknięcia się **Bońskiej komedii** z ornowcem). Sporo czepliwości po lekturze „Gazety Wyborczej”, ale właśnie od strony „wykszałciuchowatej”, za

uproszczenia, za łatwe interpretacje, za mieliny. Najlepsze przy zapisach poświęconych Obirkowi. Ale mnie się wydaje, że ten akurat żywioł Poprawy w **Walcach...** jest najmniej konieczny.

Tytuł książki, jak prawie cały *Poprawa*, został wzięty z Lennona, który podczas koncertu The Beatles wypowiedział te oto słowa: „Niektórzy grają szybkie walce, a niektórzy grają walce wolne”. Tytuł zasadny, ale jak jeszcze niedawno próbowano, opisując sytuację wypowiedzenia niektórych poetów, umieszczać ich (a właściwie ich wiersze) w oknie pociągu, tak pozwolę sobie sprowadzić ją tutaj do perspektywy widzianej z drogowego walca, bo walce drogowe też są szybkie i wolne i spoglądanie z ich kabiny bywa uczuciem równie szczególnym, jak bycie czytelnikiem tych zapisów.

**Jacek Bierut**

## Sztuka jako emetyk

Tomasz Bocheński  
**Witkacy i reszta świata**  
Wydawnictwo Oficyna  
Łódź 2010

**Witkacy i reszta świata** to książka złożona z kilkunastu samodzielnych szkiców, które układają się w przedziwną opowieść o jednym z pierwszych w Polsce artystów doświadczających – w całej grozie i nieodpartej magii – krwiożerczej siły nowoczesności, która tajemniczą rzeczywistość zmienia w sprawnie działający mechanizm, a człowieka wyrwa z bytu i wtrąca w piekło absurdalności wyobcowanego życia.

Do Witkacego przyłgnęła etykieta dziwaka, życiowego popaprańca, opętanego awangardzisty, który na poczucie porażającej pustki, czczości i bezsensowności życia szukał lekarstwa w intensyfikowaniu erotycznych, artystycznych i narkotycznych doznań. Oszołomienie jako ucieczka przed rzeczywistością? A może jednak pragnienie dotarcia w głąb, do kantowskiej rzeczy samej w sobie, do prawdy jedynej i absolutnej, do sensu istnienia, do Tajemnicy, bez której świat jest nie do wytrzymania: miałki, trywialny, nieznośnie oczywisty?

+